



Sądy i zawiedzione ambicje (I)

„Ostatnio coraz częściej ludzie nauki, którzy otrzymują krytyczne recenzje swojego dorobku, odwołują się do sądów. To naturalnie zaburza dotychczasowy system ocen i awansów. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby Pani zechciała wypowiedzieć się na łamach PAUzy, jakie jest umocowanie prawne takiego postępowanie oraz jaka jest Pani opinia o nim z punktu widzenia prawa, interesu społecznego oraz interesu nauki i środowiska naukowego”.

Odpowiadam zatem na to uprzejme zaproszenie Redaktora PAUzy, prof. Andrzeja Białasa.

„Niech to sąd rozstrzygnie, że to ja mam rację”

Lektura mediów (i tych tradycyjnych, i społecznościowych) potwierdza przenoszenie „sporów o recenzję” lub polemiki naukowej na forum sądowe. Dotyczy to zresztą nie tylko postępowań awansowych, ale w ogólności krytycznego dyskursu naukowego, dawniej toczzonego w piśmiennictwie specjalistycznym. Już nie wspominam o budzących wielkie emocje sądowych sporach polityczno-historycznych (Holocaust, udział Polaków w wojnie „po niewłaściwej stronie”, lustracja, negacjonizm). To wszystko refleks współczesnej jurydykacji życia, nieomijającej nauki i życia naukowego. Pokusa wykorzystania prawa (także karnego) i sądu jako użytecznego „argumentu mocnego” w polemikach z odmiennymi poglądami – nie jest właściwa tylko środowiskom naukowym. Można tu też dopatrywać się korelacji z mniejszą skłonnością do wybaczenia autorytetom (i tym rzeczywistym, i uzurpacyjnym). Dawniej tolerowanym zachowaniom i wypowiedziom, jako mieszczącym się w normie, obecnie zarzuca się naganną supremację lub traktuje się je jako pasywną agresję wobec adresata. I to się zdarza wobec krytyki naukowej i recenzji awansowych.

Obie sygnalizowane tendencje, gdzie „spór o rację” w nauce jest tylko egzemplifikacją szerszego zjawiska, mają ciekawe i spore (warte uwagi zresztą) piśmiennictwo, gdzie genezy upatruje się ewolucji stosunków gospodarczych i społecznych, wymuszających zmiany co do sposobu korzystania z prawa i jego postrzegania.

Czy rzeczywiście „coraz częściej”

Weryfikacji tezy o wzroście częstotliwości sporów można byłoby dokonać, analizując orzecznictwo sądowe. Tyle że to trudne, żmudne i kosztowne, biorąc pod uwagę rozrzut geograficzny i właściwość sądów do rozpatrywania takich spraw. Trudno tu o konstrukcję właściwej próby, a wszystkiego odnaleźć się nie da. Sam przedmiot analizy jest już trudny do wychwycenia, bo statystyki sądowe sporów o rację w nauce – nie wyodrębniają. W sądach cywilnych będą to sprawy przesłonięte etykietą „naruszenia dóbr osobistych”. Zaś w sprawach karnych spory o rację są fragmentem obrazu dobrego imienia czy uszczerbku reputacyjnego. Na pociechę rozczarowanym dodać można, że i sądy cywilne, i karne są o tyle w dobrym położeniu, że i spory na tle recenzji czy polemiki za pośrednictwem sądu, nie są im obce (dzieła i oceny literackie, artystyczne czy historyczne). I dlatego choć to są sprawy dla sądów trudne, sama

kwestia ważenia, gdzie fakt, gdzie ocena czy aptekarska analiza retoryki, języka i formy – nie jest w sądzie nowością. Sądy są w stanie dać sobie radę z usądowieniem dyskursu naukowego, wykorzystując (byleby umiejętnie, z czym oczywiście bywa problem) znane narzędzia i wiedzę prawnawczą.

W sądach administracyjnych spory na tle awansów naukowych miały szanse pojawić się dopiero w latach 90. Wtedy uznano, że chodzi tu o postępowanie podlegające kontroli sądowej. Dawniej dominował pogląd, że są to *interna* łącznie traktowanych szkół wyższych i organów administrowania nauką. Narastająca krytyka nieprzejrzystości i inkwizycyjności takiej sytuacji zbiegła się z rosnącym znaczeniem organów zewnętrznych uczelni w postępowaniach awansowych. Usądowienie było więc odpowiedzią na postulaty demokratyzacji i jawności. Postępowania awansowe nigdy jednak nie stały się w pełni przejrzyste ani kontrykcyjne. Ich cechą immanentną, punktem centralnym jest szczególna rola ekspertów-recenzentów. Tę specyfikę honoruje także sądowa kontrola, gdzie zarzutów czy polemik, ewentualnie „dowodów przeciwnych” względem recenzji, nie można podnosić. Osoba, którą spotkało niepowodzenie w procedurze awansowej, może zgłaszać tylko zarzuty dotyczące naruszeń prawa lub procedury, odnoszących się do awansu. Ani treść eksperckiej recenzji, ani polemika z jej treścią – nie mogą być przedmiotem zaskarżenia i oceny sądu. W teorii wszystko wygląda klarownie.

W praktyce natomiast daje się odczuć nacisk (ze strony skarżących i ich adwokatów), aby w jakiś sposób sądy administracyjne skłonić do zajęcia się samymi recenzjami i ich treścią. Zgłaszając takie zarzuty, strona czyni to w sposób zakamuflowany, pod osłoną zarzutu niewłaściwego wyznaczenia recenzenta (niekompetentnego/stronniczego/złośliwego), niekompletności oceny, jej gołostowności lub arbitralności. Takie zarzuty formułuje się w skardze jako „naruszenie prawa” – co jest co do zasady objęte kontrolą sądową, skoro dotyczy ustawowych kryteriów recenzji i obowiązków recenzentów.

O tych naciskach czy tendencjach niewiele się jednak dowiemy z samego tekstu wyroków NSA i WSA. Aby wiedzieć o zjawisku więcej – trzeba byłoby jednak wejrzeć w pisma procesowe spraw. Sądy administracyjne mają tu wyrobioną praktykę i bynajmniej nie są skłonne do poszerzenia swego zakresu kontroli. Orzecznictwo w sprawach „szkolnictwa wyższego” ma wyodrębniony symbol (6140 w Centralnej Bazie Orzeczeń Sądów Administracyjnych). Obecnie odnaleźć tam można 43 orzeczenia ostateczne, wydane przez NSA w sprawach przeciw Radzie Doskonałości Naukowej. Oczywiście razem z orzeczeniami WSA (I instancja) jest ich znacznie więcej. I trochę szkoda, że nikt tego porządnie nigdy nie zanalizował jako zbioru: choćby po to, aby zweryfikować trendy, skłonność do aktywizmu czy pasywnizmu sądów administracyjnych, przetestować, jak sobie sądy radzą z ekspercką specyfiką „sporów o rację”, i jak Rada Doskonałości Naukowej (a dawniej CKK czy KKSST) się odnajduje jako organ administracji zobowiązany do „odpowiedniego” stosowania k.p.a. w sprawach nauki. Już same te hipotezy byłyby warte empirycznego sprawdzenia w orzecznictwie sądowym.

Cd. nastąpi.

EWA ŁĘTOWSKA

Uniwersytet Warszawski walczy z dezinformacją – projekt „Nauka Sprawdza”

Jednym z podstawowych zadań nauki jest poszukiwanie rozwiązań i odpowiedzi na współczesne wyzwania. Projekt „Nauka Sprawdza”, realizowany przez Uniwersytet Warszawski z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jest naszą odpowiedzią na narastający problem związany z dezinformacją naukową. Chcemy nie tylko analizować to zjawisko, ale również aktywnie mu przeciwdziałać przez edukację i dialog ze społeczeństwem.

Dezinformacja nie jest nowym zjawiskiem. Jednak wraz z rozwojem technologii oraz nowych mediów, także w obliczu rewolucji AI, społeczeństwo traci odporność na fałszywe narracje i przekazy. Ogromna liczba informacji, z którymi każdy z nas codziennie się spotyka, rozprzestrzeniana dzięki wykorzystaniu nowoczesnych narzędzi, ułatwia rozpowszechnianie dezinformacji. Niestety, nie omija to również nauki – osoby i instytucje posługujące się fałszywym przekazem coraz częściej wspierają się autorytetem naukowym. Społeczne zaufanie do nauki i uczonych jest jednym z naszych najcenniejszych zasobów, dlatego nie możemy pozwolić, by nadużywały go osoby o niejasnych lub złych intencjach.

Właśnie dlatego w ramach Centrum Współpracy i Dialogu Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęliśmy projekt „Nauka Sprawdza”, w którym zajmujemy się nie tylko naukową analizą i opisem zjawiska, ale również tym, jak edukować społeczeństwo oraz wypracowywać skuteczne i trwałe mechanizmy walki z dezinformacją.

To interdyscyplinarny projekt, dlatego jako Przewodniczącą Rady Programowej CWiD UW wraz z moim zastępcą w Radzie – Robertem Greyem, kanclerzem UW, zaprosiliśmy do współpracy dziekan prof. Gabrielę Grotkowską z Wydziału Nauk Ekonomicznych UW, dziekana prof. Dariusza Kuźminę z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW oraz dziekana prof. Wojciecha Satułę z Wydziału Fizyki UW. Zasoby i kompetencje jednostek naukowych reprezentowanych przez członków Rady są istotne dla opracowania kompleksowych rozwiązań, możliwych dla powszechnego zastosowania, ale też nie zamykamy się na współpracę z innymi jednostkami.

Jednym z fundamentów projektu jest Zespół Naukowy, który już opracowuje duże wolumeny danych pod kątem rozpoznania prawidłowości i trendów pośród dezinformacyjnych treści publikowanych w polskojęzycznym internecie ostatnich lat. Na dalszym etapie prac zespół opublikuje wnioski, raporty i pogłębione analizy, dzięki którym poznamy kanały i strategie, wykorzystywane do rozsiewania fałszywego przekazu.

Chcemy również budować społeczeństwo odporne na dezinformację. Stąd współpraca z popularyzatorami wiedzy, którzy korzystając z nowych mediów, w przystępny sposób tłumaczą najnowsze osiągnięcia nauki. Popularny Doktor z TikToka, czyli dr inż. Konrad Skotnicki, wraz z prof. dr hab. inż. Katarzyną Siuzdak, prowadzącą profil Science Mission, zaangażowali się w projekt jako pierwsi ambasadorzy.

Wychodzimy poza tradycyjne dla nas ramy akademii na pole dialogu ze społeczeństwem, bo przecież nauka powinna przekładać się nie na postęp dla samego postępu, ale właśnie na realne zyski dla zbiorowości. Na początek na stronie projektu „Nauka Sprawdza” udostępniliśmy Vademecum – zbiór narzędzi i dobrych praktyk przydatnych w analizie informacji. Dzięki temu każdy może poprawić kompetencje w tym zakresie i zwiększyć odporność na fałszywe treści.

Kolejnym z komponentów projektu „Nauka Sprawdza” jest ogólnopolski konkurs Fake Busters, skierowany do studentów i doktorantów. Ma on na celu nie tylko zbudowanie świadomości i kompetencji dotyczących dezinformacji wśród młodych specjalistów, ale również dla wielu z nich może być pierwszym krokiem w karierze zawodowej. Konkurs składa się z trzech etapów, pierwszy właśnie się rozpoczął i potrwa do końca lutego 2026 roku. Najlepsi z uczestników dostaną zaproszenie do drugiego etapu. Z kolei zwycięzcy drugiego etapu wezmą udział w dwudniowym finale konkursu na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego w połowie kwietnia. Podczas wydarzenia drużyny fact checkerów powalczą o zwycięstwo i atrakcyjne nagrody. Oprócz nagród rzeczowych w puli są również staże i praktyki w polskich organizacjach i instytucjach, które działając, walczą z dezinformacją. Uczestnicy konkursu rozwiną zdobytą w trakcie zmagania wiedzę w realnej pracy na rzecz walki z tym zjawiskiem.

Dzięki realizacji projektu „Nauka Sprawdza” jako pierwszorzędną uczelnię w Polsce zbudujemy kompleksowy ekosystem analizy dezinformacji i przeciwdziałania jej, łączący komponent naukowy, edukacyjny ze współpracą z instytucjami państwowymi oraz otoczeniem społeczno-gospodarczym. Chcemy dotrzeć z naszymi posunięciami do całego społeczeństwa i przypominać obywatelom, że wątpliwość i pogłębiona analiza w codziennym korzystaniu z informacji są niezbędne we współczesnym społeczeństwie.

Zapraszam do odwiedzenia stron internetowych projektu Nauka Sprawdza (<https://naukasprawdza.uw.edu.pl>) oraz Fake Busters (<https://fakebusters.uw.edu.pl>) i zapoznania się z udostępnionymi tam materiałami.

EWA KROGULEC
UW

Organizacyjne samokształcenie obywatelskie w ogólnokrajowym związku studentów sprzyja demokratycznemu współdziałaniu powszechnemu

Polska należy do wyjątków w Unii Europejskiej jako chyba jedyny kraj bez narodowego (ogólnokrajowego) związku studentów. Żaden „samorządowy parlament studentów” takiego związku nie zastąpi. A nazwa związku jest także oznaką tożsamości.

Mieliśmy kiedyś w Polsce taki związek: Zrzeszenie Studentów Polskich (1950–1973). PZPR to zlikwidowała.

To historyczne **Zrzeszenie Studentów Polskich** zaznaczyło się w rozmaitych dziedzinach – kultury, turystyki, kół naukowych etc., zwłaszcza od Października 1956 roku, przede wszystkim jako **samokształcenie obywatelskie**, czyli uczenie się **współdziałania** obywatelskiego. Zaś przesłanką konieczną współdziałania jest **komunikacja społeczna**.

Obejmowała ona środowisko studenckie o zmiennej strukturze, głównie wskutek zmian społecznych w PRL, przynoszących m.in. znaczny wzrost liczby studentów, a wśród nich – bezprecedensowy napływ młodzieży z warstwy chłopskiej. Ten wzrost zaowocował wszechstronnie.

Komunikacja społeczna przejawiała się w niezliczonych dyskusjach w grupie studenckiej i domu studenckim (akademik), w stołówce, na uczelni, w klubie i przy turystycznym ognisku, i co szczególnie ważne, w powszechnych i tajnych wyborach do wielkiej liczby rad wydziałowych, uczelnianych i okręgowych, do Rady Naczelnej; uzewnętrzniała się w działalności tych rad oraz ich komitetów wykonawczych, w pisemnie składanych sprawozdaniach publicznych, w niefikcyjnych abskorytorjach, w konferencjach organizacyjnych, także w kadencyjnych kongresach, którymi nawet KC PZPR nie potrafił w pełni sterować. Samych teatrów i rozmaitych klubów (w tym dyskusyjnych, filmowych itd.) było w latach siedemdziesiątych co najmniej 200.

Ktoś wtedy nazwał ZSP **szkołą obywatelskiego wychowania** – o tyle nietrafnie, że każda szkoła to także ważniejszy od uczniów nauczyciele i wtedy był w szkole także tow. sekretarz wszystkiego pilnujący. my byliśmy w ZSP wszyscy równi i sami się obywatelsko kształciliśmy. Pobudzało to demokrację studentów. I zaspokajało część zainteresowania światem (m.in. dzięki wymianie turystycznej i kulturalnej ze związkami studentów na Zachodzie).

Trzeba odnotować fakt, że kontrola partyjna była zwykle dość dyskretna. Unikano otwartego konfliktu – z obydwóch stron. Wszakże ZSP często te stosunki napinało, np. w zakresie cenzury teatrów studenckich (bywała tylko umiarkowanie skuteczna) i konsultacji z komitetem uczelnianym, indagującym o kandydatów do rady uczelnianej. Wydział Nauki KC PZPR tylko pytał o kandydatów na stanowiska przewodniczącego Rady Naczelnej i wiceprzewodniczącego ds. zagranicznych.

ZSP było w bloku sowieckim jedyną taką organizacją. Jednak ta nasza wszechstronna wyjątkowość, względna autonomia i obywatelskość (a nie ZMS-owska partyjność), czasami kontestacja (w dziedzinie kultury nade wszystko), pogrążyła nas w opinii aparaczyków. Właśnie od Marca

1968 roku. A może PZPR, likwidując ZSP, poświęciła je na gierkowsko-breżniewowski ołtarz przyjaźni, ułatwiając tym dalsze tolerowanie prywatnego rolnika polskiego i Kościoła? Coś tym komsomolskim przyjaciółom trzeba było dać i poświęcono ZSP.

Zmiana strukturalna poczęła się jednak stopniowo zaznaczać. Albowiem poczynając od brutalnie łamiącej statut ZSP w 1973 roku **likwidacji Zrzeszenia Studentów Polskich**, stopniowo słabła **międzypokoleniowa więź działaczy** w środowisku studenckim. Zanikała wraz z odchodzeniem absolwentów. Słabła więc komunikacja społeczna. Nowy **Socjalistyczny Związek Studentów Polskich** – przez niejednego studenta przyjmowany z rezerwą – kontynuował wiele form ZSP z coraz to nowymi i zdolnymi działaczami, ale może działał za krótko, żeby coś wielkiego zbudować. W końcu przepadł. Nastąpiło pełne **zerwanie ciągłości pokoleń**. Ratunkowe przywracanie potem samej nazwy ZSP nie wystarczyło i to wegetujące obecnie „ZSP” ma podobno 10 tysięcy członków, a studentów mamy w Polsce ponad milion. W historycznym ZSP mieliśmy zawsze co najmniej 90% studentów i co najmniej 85% członków płaciło składki. W latach 1966–1973 aż 20–40% wydatków rocznych pokrywano ze składek członkowskich, ale bez dotacji państwowych ZSP nie mogłoby tak szeroko działać.

Pożądany status studenta (sic) zaistnieje u nas wtedy, gdy powstanie **nowe Zrzeszenie Studentów Polskich (ZSP)**, na podstawie znowelizowanej ustawy o szkolnictwie wyższym, uznającej, że **każdy immatrykulowany student uczelni polskiej jest członkiem ogólnokrajowego zrzeszenia studentów** (a student bez polskiego obywatelstwa – członkiem stowarzyszonym). Członkowie wybierają bezpośrednio albo pośrednio (przez delegatów uczelnianych) swoje reprezentacje na poziomach wielouczelnianego miasta, także kraju, na podstawie Statutu ZSP uchwalonego przez Kongres Zrzeszenia Studentów Polskich. Takie związki powstawały w świecie od 1918 roku (pierwszy w Argentynie). Oczywiście, członek takiego ZSP winien mieć prawo wystąpienia z organizacji. A nadzór nad tym zrzeszeniem odbywać się winien na podstawie aktualnej ustawy *Prawo o stowarzyszeniach*.

Nie brak w tej sprawie sceptyków. Znany mi osobiście wybitny uczony napisał do mnie, że nie wierzy w sukces takiej reformy (zob. akapit powyżej), ale będzie się cieszył, jeśli się uda.

Raz jeszcze o historycznym ZSP i aktualnych potrzebach: Dzięki **organizacyjnej praktyce samokształcenia obywatelskiego** wielu byłych członków historycznego ZSP opowiedziało się, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, za zmianą ustrojową. I wpływało na tę ustrojową zmianę. **Studencko-organizacyjne samokształcenie obywatelskie sprzyja demokratycznemu współdziałaniu powszechnemu. Zawsze. I teraz też bardzo by się takie samokształcenie przydało w kraju z głębokim deficytem współdziałania.**

RYSZARD STEMPLOWSKI

Wiceprzewodniczący ds. zagranicznych
Rady Naczelnej ZSP (1966–1968)

We must all hang together...

Na wstępie cyklu tekstów o optymalnej strategii dla Polski w zmieniającym się świecie (PAUza 745) prof. Adam Rotfeld podkreślił fundamentalną zmianę sytuacji geopolitycznej naszego kraju po upadku żelaznej kurtyny. Cytuję:

Usunęło to raz na zawsze (podkr. A.B.) dylemat, przed którym stawały elity polityczne poprzednich generacji: czy wiązać się z Niemcami przeciwko Rosji, czy z Rosją przeciwko Niemcom, czy też – jak w okresie międzywojennym – prowadzić politykę „równego dystansu” wobec obu sąsiadów. Ten dylemat wydawał się odwieczny, a jego unieważnienie niemożliwe. Stało się to jednak nie tylko możliwe, ale i realne w wyniku zmian wewnętrznych i fundamentalnej transformacji ustrojowej oraz wynikających z tego bezkrawowych transformacji w całym subregionie Europy Środkowo-Wschodniej.

Rzeczywiście, wejście Polski do NATO oraz do UE spowodowało, że nagle Niemcy stały się naszym strategicznym sojusznikiem.

Przełom roku 1989 zmienił więc radykalnie na lepsze naszą sytuację geopolityczną. Ale czy **na zawsze**? Gdy obserwowałem nieustanne ataki poprzedniego rządu na naszych zachodnich sąsiadów (kontynuowane przez obecną opozycję), gdy czytam, że biskup głosi publicznie: „Jak świat światem nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem”, wreszcie gdy rosnące w siłę radykalne partie wysuwają hasła polexitu, ogarnia mnie niepokój. W końcu to nie pierwszy raz, gdy Polacy własnymi rękami próbowali i skutecznie zdołali zniszczyć swoją pozycję i swoją przyszłość.

Przypomnijmy, że autorom idei zjednoczenia Europy przyświecały dwa cele. Jednym było zlikwidowanie napięć, które doprowadziły do dwóch wojen światowych. Ale drugim, równie ważnym, było tak mocne związanie Niemiec z pozostałymi państwami Europy, aby odbudowywana wówczas armia niemiecka nie mogła ponownie stać się zagrożeniem dla otoczenia. Zdawano sobie bowiem sprawę, że Niemcy, chociaż zniszczone przez wojnę, wcześniej czy później odzyskają swoją pozycję najsilniejszego pasilnea na kontynencie i trzeba zrobić wszystko, aby ich związki z Europą były silne oraz dla nich **korzystne**. Tak, żeby nie powstawała tam pokusa ponownego agresywnego wystąpienia przeciw sąsiadom. Minęło właśnie 80 lat od zakończenia wojny i widać, że – jak dotąd – ta idea się sprawdza. Choć Niemcy rzeczywiście stały się najsilniejszą gospodarką Europy, to jednak ich powiązanie z pozostałymi krajami UE jest na tyle mocne, że nie mają ani wielu możliwości, ani zbyt wielkiej ochoty na samodzielną grę polityczną poza Unią Europejską.

Polska i Niemcy są więc połączone więzami i traktatami UE, które nie są łatwe do unieważnienia, zwłaszcza że ewidentnie są korzystne dla obu stron. Toteż niezbyt martwi mnie to utarczki słowne, chociaż lepiej, żeby ich nie było, bo wzmacniają niechęć nam siły po drugiej stronie Odry.

Znacznie groźniejsze są wysuwane przez naszych pseudopatriotów hasła o „Europie ojczyzn” oraz rozciągane miraż **absolutnej** suwerenności. Ich nieuchronną konsekwencją będzie przecież osłabienie związków między państwami Unii Europejskiej. Ten rzeczywisty cel jest obłudnie

i cynicznie motywowany obroną niepodległości oraz obawą przed zdominowaniem nas przez Niemcy. To rzeczywiście świetny chwyt propagandowy, godny najlepszych propagandzistów Władimira Putina, bo pamięć doświadczeń wojennych sprawia, że wzbudzenie nieufności do Niemców jest w Polsce niezwykle łatwe. Wszystkim straszącym nas Niemcami trzeba jednak przypomnieć, że więzy, które nałożyliśmy sobie, przystępując do UE, obowiązują wszystkie państwa europejskie, a więc również Niemcy. To jest, jak sądzę, najlepszym gwarantem, że nie wykorzystają one swojej siły w sposób nieodpowiedzialny. Im te więzy silniejsze, tym nasze bezpieczeństwo bardziej solidne. Pozbywanie się takiego zabezpieczenia jest więc albo głupotą, albo poświęcaniem strategicznych interesów Polski na ołtarzu polityki wewnętrznej, albo wreszcie świadomym działaniem na rzecz groźnego sąsiada ze Wschodu, czyli zdradą narodową.

Wiadomo, że polityka nie zawsze kieruje się rozsądkiem i logiką, że co najmniej równie ważne, a często nawet ważniejsze są emocje. W historii Polski takich sytuacji, gdy decydowały emocje, mieliśmy dużo, może zbyt dużo. Ocena tych uniesień stanowi do dziś regularny temat sporów między nami na wszystkich szczeblach społeczeństwa oraz między historykami. Trwałość i ostrość polemik nie dziwią, bo przecież skutki tych dyktowanych emocjami poczynań bywały dramatyczne i wpływały na losy wielu pokoleń.

Można próbować zrozumieć przywódców, gdy nie potrafili poprawnie ocenić możliwości kolejnego emocjonalnego zrywu lub nie zdołali oprzeć się młodemu, w gorącej wodzie kądanym podwładnym, a nawet dali się ponieść ich entuzjazmowi. Nic jednak nie może usprawiedliwić ludzi pretendujących do roli przywódców narodu, gdy cynicznie podkopują podstawy narodowego bezpieczeństwa dla osiągnięcia lub utrwalenia swojej władzy. Też zresztą nie pierwszy raz w naszych dziejach.

Nie wiemy, jak potoczy się historia i czy państwa europejskie potrafią zjednoczyć się wobec wspólnego niebezpieczeństwa. Na pewno jednak w najbardziej żywotnym interesie Polski jest wzmacnianie posunięć prowadzących do ścisłego współdziałania Europejczyków w obliczu tak jawnego zagrożenia.

Już w starożytnej Grecji krążyła opowieść o ojcu, który przed śmiercią, kazał swoim synom przynieść wiązkę oszczepów, którą mieli złamać, gdy była związana. Żaden z nich nie mógł tego dokonać. Wtedy wyjął je kolejno i każdy z osobna sam złamał z łatwością. Benjamin Franklin, podczas debaty wśród amerykańskich kolonii nad sposobami przeciwstawienia się spodziewanej interwencji wojsk brytyjskich, ujął tę samą kwestię w sławnym aforyzmie: **We must all hang together, or assuredly we shall all hang separately.**

Ostatnio pojawiają się na szczęście sygnały, że – podobnie jak 250 lat temu w wybijającej się na niepodległość Ameryce – dzisiejsi przywódcy Europy zaczynają traktować te słowa poważnie i dzięki temu potrafią dobrze przygotować nasz kontynent do nadchodzących wyzwań. Mam nadzieję, że Polska będzie liderem tego procesu.

Inaczej może spełnić się inna przestroga Benjamina Franklina: **By failing to prepare, you are preparing to fail.**

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;

Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja